

Eric
Weiner

FILADELFIA

BOSTON

LONDYN

PARYŻ

Benjamin Franklin i ja

w poszukiwaniu recepty
na długie i użyteczne życie



 PWN

W ślad za Benjaminem Franklinem

Jeden z dwóch nieprezydentów widniejących na banknotach. Naukowiec, wynalazca, podróżnik, filantrop i społecznik. A także influencer, najprawdopodobniej pierwszy w historii. Eric Weiner, dziennikarz, pisarz i podróżnik, zainspirowany niezwykłym życiem jednego z ojców założycieli, wyrusza w podróż jego śladami.

Stawia sobie wyjątkowo ambitny cel: żyć tak, jak żył Benjamin Franklin.

Podążając za Franklinem z Filadelfii do Paryża, z Bostonu do Londynu, zgłębia lekcje, których udziela mu „Ben”, a następnie przekuwa jego idee w praktyczną i ugruntowaną mądrość dla nas wszystkich.

Benjamin Franklin i ja. W poszukiwaniu recepty na długie i użyteczne życie to biografia, dziennik podróży i osobista recepta na szczęście w jednym. To książka o ciekawości, pracowitości, a przede wszystkim o ulotnym celu, jakim jest samodoskonalenie. To także niezwykle wciągająca, inteligentna i pouczająca opowieść, która

pokazuje, jak wiele możemy nauczyć się, czerpiąc z przeszłości.

Eric Weiner – autor bestsellerów „New York Timesa” Geografia szczęścia oraz Genialni, a także świetnie przyjętych przez krytyków i czytelników Poznam sympatycznego Boga i Ekspresem z Sokratesem. Jego książki zostały przetłumaczone na ponad 20 języków. Wielokrotnie nagradzany dziennikarz i były korespondent National Public Radio. Obecnie współpracuje między innymi z The Washington Post, BBC Travel i AFAR.

JEDEN

BEN SPOCZYNKOWY

Człowiek nie urodził się do końca, dopóki nie umarł.

Benjamin Franklin

Zaczynamy, w sposób naturalny, przy końcu. To dopiero tutaj, u kresu życia, podróż nabiera sensu. Przykładanie miary do życia wciąż przeżywanego jest jak ocenianie filmu, który wciąż się ogląda, albo posiłku, który wciąż się spożywa. Werdykt będzie w najlepszym razie niepełny, w najgorszym głupi.

Każdy koniec jest inny, ale żaden nie jest szczęśliwy. Ostatni rozdział Benjamina Franklina, dokonujący się w jego filadelfijskim domu wiosną 1790 roku, nie stanowił pod tym względem wyjątku. Finalna scena została wiernie uwieczniona przez Polly Stevenson, którą Franklin traktował jak drugą córkę. W Londynie mieszkali przez wiele lat pod jednym dachem i podzielali niepowstrzymaną ciekawość wobec świata natury. Nazywał ją swoim „drogim małym filozofem”.

W ostatnich latach życia Ben rzadko opuszczał sypialnię. Opracował sposób zamykania drzwi z łóżka za pomocą przewodów i kołowrotów. Cierpiąc na podagrę, kamień nerkowy i zapalenie opłucnej, odczuwał ogromny ból, pomimo że zażywał w coraz większych dawkach laudanum, czyli nalewkę z opium. Jednak, jak informuje Polly, „nigdy na jego twarzy nie ujawniały się opryskliwość czy sarkazm”; nie użalał się też nad sobą ani trochę.

Liczący sobie osiemdziesiąt cztery lata, Benjamin Franklin cieszył się długim życiem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę liczne, często barwne przyczyny czyjegoś zgonu w wieku osiemnastym. Franklin przetrwał wielokrotne choroby, dwie wojny, osiem rejsów oceanicznych i nieudany eksperyment z wykorzystaniem śmiertelnego wyładowania elektrycznego i indyka. Wszystkich zdumiewała długowieczność Franklina, a już najbardziej jego samego. „Mam wrażenie, że wprosiłem się do towarzystwa potomności, kiedy powinienem był leżeć w łóżku i spać – oznajmił jednemu z przyjaciół. – Gdybym jednak odszedł w wieku siedemdziesięciu lat, to odcięłoby mi to dwanaście najbardziej aktywnych lat mego życia, poświęconych też kwestiom największej wagi”. To niedopowiedzenie. Jego ostatnia dekada była jego najbardziej pracowitą i najszczęśliwszą ze wszystkich.

Po latach kinetycznej aktywności Benjamin Franklin zyskał to, co długo mu umykało: odpoczynek. Wraz z nadejściem roku 1788, zwolniony z przeróżnych obowiązków publicznych, mógł rozsiąść się wygodnie i cieszyć się „wolnym czasem, którego tak długo

pragnął”. Oto był Franklin odpoczywający albo też tak bliski tego stanu, jak jest to możliwe w przypadku równie niespokojnego człowieka. Wciąż należało tak dużo zrobić: dokończyć biografię, ocenić życie, doglądać domu, niewielkiego kompleksu budynków przy filadelfijskiej Market Street, znanego obecnie jako Franklin Court.

Ben spędził ostatnie lata życia na czytaniu i pisaniu, spotkaniach ze starymi przyjaciółmi i przyjmowaniu gości. Był przyjaznym, choć nieco ekscentrycznym gospodarzem, który serwował prosty posiłek, składający się z piwa i czerwonych ziemniaków. Jeden z odwiedzających, wielbny Manasseh Cutler, wspominał, że podczas spotkania spodziewał się ujrzeć kogoś w rodzaju amerykańskiego króla, a tymczasem zobaczył „niskiego, grubego, starego człowieka w prostym kwakerskim stroju, łysego jak kolano, z krótkimi siwymi lokami, siedzącego bez kapelusza pod drzewem”. Zwyczajność Franklina stanowiła zapewne jego najbardziej niezwykłą cechę.

Franklin uwielbiał pokazywać gościom swoje wynalazki i osobliwości: dwugłowego węża, szklane urządzenie przedstawiające ludzki układ krążenia, wczesną wersję dzisiejszej fotokopiarki, „długoramienny” przyrząd, który umożliwiał mu sięganie do najwyższych półek jego licznych biblioteczek. Franklin Court przypominał, jeśli już, osiemnastowieczną wersję współcześnie wyposażonego lokum – lata świetlne od prostego dwupokojowego domu, który młody Ben dzielił z blisko dwunastoma członkami rodziny w Bostonie.

*

Pod koniec, na początku kwietnia 1790 roku, odzyskał na krótko siły, wzbudzając nadzieje, ale dwa tygodnie później ropień w płucu pękł, wypełniając je płynem. „Skutkiem był spokojny, letargiczny stan” – donosi John Jones, opiekujący się nim lekarz. Potem, 17 kwietnia o godz. 23.00, „odszedł spokojnie, zamykając tym samym długie i użyteczne życie osiemdziesięciu czterech lat i trzech miesięcy”.

Dobór słów lekarza jest ważny – nie po prostu długie życie, lecz długie i użyteczne. Użyteczność znaczyła w osiemnastym wieku bardzo dużo. Najważniejszym sprawdzianem idei, jakiegokolwiek idei, była jej użyteczność. Czy zapewniała największe szczęście największej liczbie ludzi?

Prawda jest taka, że odznaczamy się ambiwalencją w kwestii prowadzenia użytecznego życia. Twierdzimy, że dążymy do niego, narzekamy jednak, że ten i ten „po prostu nas użył”. Bycie osobą, którą inni regularnie wykorzystują, jest postrzegane jako skaza charakteru.

Niewykluczone jednak, że należy to uznać za najwyższy komplement. Zamiast unikać wykorzystywania, może powinienem do tego zachęcać. Tak, proszę. Użyjcie mnie.

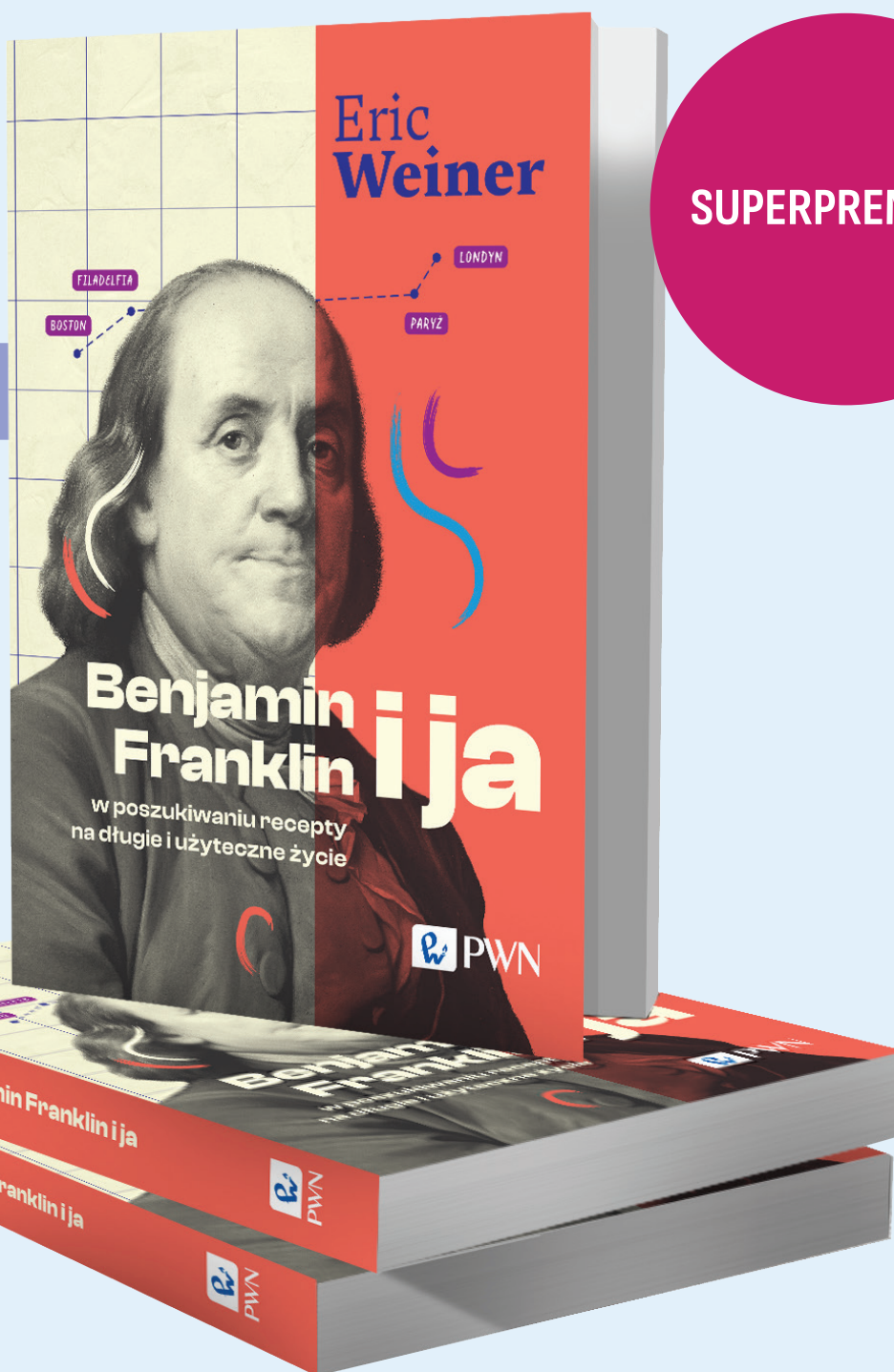
Użyteczność była dla Franklina szczególnie ważna. Słowo to występuje w jego autobiografii blisko trzydzieści razy. Użyteczność motywowała go. Określała. Był użytecznym drukarzem, użytecznym mężem stanu, użytecznym naukowcem, użytecznym pisarzem i użytecznym przyjacielem. I użytecznym rewolucjonistą – prawdopodobnie najbardziej użytecznym, ustępując jedynie Jerzemu Waszyngtonowi.

Czy ja jestem użyteczny? Mam wątpliwości. Kiedy porównuję się z innymi, wypadam błado. Mój ojciec był lekarzem. Ratował życie ludzkie. Moja matka była nauczycielką. Kształtowała życie młodych uczniów. Mój przyjaciel James prowadzi grupowe medytacje. Uspokaja życia. A ja? Wyskrobuję słowa na papierze, a bywają dni, że niewiele. A więc nie, nie jestem użyteczny, a już z pewnością nie porównaniu z Benjaminem Franklinem.

Świadomość ta wywołuje niejaką melancholię, która od lat spowija mnie cieniem. Ben nie doznawał takiego przygnębienia. Zachowywał optymistyczne spojrzenie i nigdy nie tracił nadziei, nawet gdy tracili ją inni. Pytany, czy coś da się zrobić albo zrobić lepiej, odpowiadał zawsze tymi samymi słowami: „A dlaczego nie, u licha?”.

Benjamin Franklin nie był pragmatykiem. Był tym, co neurobiolog David Eagleman nazywa „posybilistą”. Pragmatyk pyta: „Co możemy z tym teraz zrobić?”. Posybilista wyobraża sobie, co można zrobić w przyszłości, bez względu na to, jak nieprawdopodobne się to wydaje. Posybilista jest nieskończenie cierpliwy. Posybilista nie ustaje w wysiłkach i nigdy nie wzdycha.

Czy i we mnie może kryć się ktoś taki?



SUPERPREMIERA

SPRAWDŹ